

Kenzaburō Ōe **Osobiste
doświadczenie**

przełożył Dariusz Latoś



Państwowy
Instytut
Wydawniczy

Ptak stanął nad wspaniałą mapą Afryki, która spoczywała w gablocie z dumą oraz gracją dzikiej sarny, i spojrzął na nią ze zduszonym westchnieniem. Księgarki z gęsią skórką na szyjach i ramionach wystających spod bluzek nie zwróciły na ten dźwięk zbytnej uwagi. Słońce chowało się za horyzontem, żar początku lata opuścił już okrywające ziemię powietrze, ulotnił się niczym ciepło z martwego ciała olbrzyma. Wszyscy co chwila wodzili po omacku w szarówce nieświadomości za wspomnieniami słonecznego ciepła tłącego się na skórze, wdychając za każdym razem. Był czerwiec, szósta trzydzieści po południu, w mieście nikt się już nie pocił.

Natomiast żona Ptaka wylewała zapewne niezliczone krople potu ze wszystkich porów na całym ciele, leżała naga na nieprzemakalnym podkładzie, z oczami zaciśniętymi jak u odstrzelonego bażanta spadającego na ziemię, jęcząc z bólu, niepokoju i nadziei.

Ptak zadrżał ze wzrokiem utkwionym w szczegółach mapy. Morza opływające Afrykę wydrukowano we łzawym kolorze pogodnego zimowego nieba o świcie. Południków i równoleżników nie przedstawiono mechanicznymi pociągnięciami cyrkiem, tylko grubymi liniami, w których czuło się nieregularność, ale i pewność ludzkiej ręki artysty. Do ich nakreślenia użyto czerni kostnej. Kontynent przypominał kształtem czaszkę

pochylnego mężczyzny. Patrzył on smutno na Australię, ojczyznę kangurów, koali i dziobaków. Widoczna u dołu mapy mała Afryka przedstawiająca rozmieszczenie ludności przywodziła na myśl głowę martwą i nadzartą korozją, a ta z zaznaczoną siatką połączeń komunikacyjnych – wstrząsającą głowę, z której zdarto skórę, odsłaniając naczynia krwionośne. Obie budziły skojarzenia z uderzającą brutalną, nagłą śmiercią.

– Życzy pan sobie obeerzeć z bliska?

– Nie, przyszedłem po co innego. Poproszę atlas Michelina po Afryce Zachodniej i jeszcze jeden, po Afryce Środkowej i Południowej.

Księgarka nachyliła się do półki ciasno wypełnionej różnymi atlasami samochodowymi i zaczęła gorączkowe poszukiwania.

– Numery sto osiemdziesiąt dwa i sto pięćdziesiąt pięć – rzucił Ptak niczym prawdziwym znawcą.

Mapa, której przyglądał się, wzdychając, widniała na jednej ze stron potężnego atlasu świata oprawionego w skórę, służącego raczej jako ozdoba. Już kilka tygodni temu zapytał o cenę tego luksusowego tomu, ale wynosiła ona równowartość pięciu jego nauczycielskich pensji w szkole przygotowawczej. Gdyby doliczyć dochód z nieregularnych zleceń na tłumaczenia ustne, może udałoby mu się zebrać potrzebną kwotę w ciągu trzech miesięcy. Musiał jednak zapewnić byt sobie i żonie, a także temu, co właśnie starało się rozpocząć na tym świecie swoje istnienie. Ptak był głową rodziny.

Ekspedientka zdjęła dwie mapy z czerwonymi okładkami i położyła je na gablocie. Jej dłonie były lekko przybrudzone, a palce miały w sobie wåtłość odnóży kameleona uczepionych gałęzi. Ptak utkwiał wzrok w logo,

którego dotykały te palce, w gumowym ludziku toczącym oponę jak dziecko podczas zabawy, i poczuł, że kupuje coś zupełnie bez znaczenia – choć były to bardzo dla niego istotne mapy samochodowe. Nie potrafiąc odpuścić, zapytał o luksusowy przedmiot spoczywający za szkłem, tak różny od książeczek, o które poprosił.

– Dlaczego ten atlas zawsze leży otwarty na mapie Afryki?

Kobieta, nie wiedząc czemu, nabrała podejrzeń i nie odpowiedziała.

Jaki mógł być powód? Ptak zaczął sam szukać odpowiedzi. Może właściciel księgarni uważał tę stronę za najpiękniejszą ze wszystkich? Ale przecież mapa kontynentu ulegającego zmianom tak dynamicznym jak w przypadku Afryki najszybciej się starzeje. Od niej rozpoczyna się erozja atlasu. Prezentować akurat tę stronę to tak, jakby ogłaszać wszem i wobec nieaktualność całego tomu. Jaki kontynent o całkowicie ustabilizowanej sytuacji politycznej należałoby więc wybrać, by mapa na pewno się nie zestarzała? Amerykę, i to Północną? Ptak porzucił rozważania, zapłacił za mapy Afryki w czerwonych okładkach, po czym ze spuszczoną głową ruszył przejściem między rzeźbą grubej nagiej kobiety a dużą monsterą w donicy i zszedł po schodach. Podbrzusze wykonanej z brązu figury było tłuste od dłoni sfrustrowanych chłopaków, błyszczało mokro jak psi nos. Ptak też pocierał tamto miejsce palcami, gdy sam był uczniem, ale teraz nie miał odwagi nawet spojrzeć na rzeźbę. Widział, jak lekarz i pielęgniarki, stojąc obok jego nagiej żony leżącej na łóżku, szorują obnażone do łokci ręce środkiem dezynfekcyjnym. Przedramiona lekarza pokrywała gęstwa warstwa włosów.

Gdy przedzierał się przez zatłoczony dział z czasopi-smami na parterze, Ptak ostrożnie wsunął do kieszeni marynarki owinięte w papier pakowy książeczki i przy-cisnął je przedramieniem. Były to jego pierwsze mapy Afryki przeznaczone do praktycznego użytku. Ale czy nadejdzie dzień, gdy naprawdę stanę na afrykańskiej ziemi i spojrzę w tamtejsze niebo przez szkła grubych przyciemnianych okularów? – pomyślał z niepokojem. Czy właśnie teraz, w tym momencie, nie tracę bezpow-rotnie szansy, by tam wyruszyć? Innymi słowy, czy nie żegnam się, zmuszony okolicznościami, z jedyną i za-razem ostatnią, kipiącą od wspaniałej energii i napię-cia okazją swojej młodości? Nawet jeśli, nie mogę się już wycofać.

Ptak pchnął drzwi księgarni wściekłym, gwałtownym ruchem i wyszedł na chodnik. Był początek lata, zmierzchało. Zanieczyszczone powietrze i szarówka sprawiały, że ulica wydawała się zamknięta pod gru-bą warstwą mgły. Na chodnik tuż przed nim zeskokzył elektryk o zgarbionych plecach, który wymieniał świe-tłówkę nad witryną zapełnioną zachodnimi nowościa-mi w twardych oprawach – zaskoczony Ptak zrobił krok w tył i spojrzął na siebie samego w głębi wielkiej ciem-nej szyby, na własną twarz starzejącą się z prędkością sprintera. Miał dwadzieścia siedem lat i cztery miesiące. Przydomek zyskał w wieku około piętnastu. Od tamtej pory zawsze był Ptakiem, a jego obecna niezgrabna po-stać, majacząca w czarnej jak tusz toni okna wystawowe-go niczym topielec, przypominała ptaka jeszcze bardziej. Był drobny i przeraźliwie chudy. Jego przyjaciele zaczy-nali tyć, gdy kończyli studia i szli do pracy, nawet ci, któ-rzy nadal pozostawali szczupli, po ślubie nabierali ciała,

Ptak zaś jako jedyny wciąż wyglądał niczym szkielet, tylko brzuch miał trochę zaokrąglony. Chodził zawsze przygarbiony, z groźnie uniesionymi ramionami, w takiej też pozie stał – trochę jak chudy staruszek sportowiec. Jego wiecznie uniesione barki przywodziły na myśl złożone skrzydła, ptaka przypominał też z rysów twarzy. Pozbawiony zmarszczek, przebarwiony na jasnobrązowo grzbiet nosa miał wystający i zagięty zupełnie jak dziób, a jego oczy o żółtawej barwie kleju posyłały ostre błyski, nie wyrażając niemal żadnych emocji. Czasem tylko wybałuszały się, jakby ze zdumienia. Usta zawsze zaciśnięte w cienką, twardą linię, która wykrzywiała się od policzków do brody. Do tego włosy sterczące ku niebu jak płomienie. Ptak wyglądał tak już w wieku lat piętnastu. W wieku dwudziestu też. Jak długo jeszcze miał przypominać ptaka? Czy należał do tych ludzi, którzy nie mają wyboru i muszą od piętnastego aż do sześćdziesiątego roku życia trwać z tą samą twarzą i postawą? Jeśli tak, Ptak oglądał w szybie witryny siebie samego na przestrzeni całego swojego życia. Zadrżał, ogarnięty wstrętem tak dotkliwie konkretnym, że zachciało mu się wymiotować. Ten widok był niczym objawienie: oto on, zgrzybiały i wyczerpany ojciec gromady dzieci...

Wtedy z głębi ciemnej toni szyby zbliżyła się do Ptaka kobieta, w której bez wątpienia było coś dziwnego. Miała potężne ramiona, a wzrostem przewyższała go tak bardzo, że całą jej twarz widział w odbiciu nad swoją głową. Poczul, jakby zachodził go od tyłu jakiś potwór, dlatego odwrócił się, odruchowo unosząc ręce w obronnym geście. Kobieta stanęła tuż przed nim i wbiła w niego wzrok z poważną miną kogoś, kto dokonuje drobiazgowej inspekcji. Ptak w napięciu odwzajemnił spojrzenie.